

Rita

Święta od spraw beznadziejnych
i apaszka Hermès

Świadectwo kobiety, która nauczyła się ufać
temu, czego nie da się kontrolować

Joanna Prus

BookEdit

Joanna Prus

Rita

**Święta od spraw beznadziejnych
i apaszka Hermès**

Świadectwo kobiety, która nauczyła się ufać
temu, czego nie da się kontrolować

BookEdit

Copyright © Joanna Prus, 2026

Projekt okładki: Joanna Prus

Redakcja: Magda Ceglarz

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-68750-46-1

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl

Od autorki

NIE PISAŁAM TEJ KSIĄŻKI jako osoba „gotowa religijnie”. Napisałam ją jako kobieta przyzwyczajona ufać przede wszystkim sobie: własnej inteligencji, pracy, sprawczości i umiejętności poruszania się po świecie. Przez wiele lat żyłam szybko, intensywnie i skutecznie. Lubiłam ten rytm. Lubiłam świat dobrze skrojonych planów, podróży, estetyki i decyzji podejmowanych bez wahania. Wierzyłam, że jeśli człowiek jest wystarczająco uważny, zdyscyplinowany i silny, potrafi poradzić sobie niemal ze wszystkim.

Spotkanie ze św. Ritą nie zaczęło się od objawienia. Zaczęło się od tego, że z ciekawości sięgnęłam pod książkę znalezioną przypadkiem, jeśli wierzymy w przypadki, a nie przeznaczenie. Od lekkiej irytacji. Zadawałam pytania, które początkowo wydawały mi się bardziej intelektualne niż duchowe. Potem przyszły kolejne znaki, podróże, spotkania i historie ludzi, których życie dotknęło granicy, po ludzku, nie do przejścia.

Wszystko to wydarzyło się naprawdę.

Nie piszę tej książki po to, by kogokolwiek przekonywać za wszelką cenę. Piszę ją, ponieważ sama zostałam przekonana nie argumentem, lecz drogą. Nie nagłym olśnieniem, lecz serią doświadczeń, które stopniowo rozbierały moją pychę, uczyły mnie słuchać i pokazywały, że czasem nasze najmniejsze gesty mogą stać się początkiem cudu w życiu drugiego człowieka.

To nie jest opowieść o idealnej wierze. Tylko o zaufaniu, które przyszło później.

1. Wertykalność

PARYSKI GARE DU NORD nigdy nie jest tylko dworcem. To miejsce tranzytu ambicji, pośpiechu i ludzi, którzy wraz ze swoimi historiami mijają się bez jednego spojrzenia. Tego ranka byłam jedną z tych osób: dobrze ubrana, skupiona, z biletem do Londynu w torebce i telefonem pełnym wiadomości, na które odpowiada się w biegu, między kontrolą a peronem.

Lubiłam ten stan. Przez lata nauczyłam się żyć na wysokich obrotach. Lotniska, dworce, taksówki, sale konferencyjne, restauracje, w których nikt nie ma czasu spokojnie zjeść, tylko negocjuje, planuje i przekonuje. Umiałam poruszać się w tym świecie bez wysiłku. Wiedziałam, jak mówić, jak wyglądać, jak nie tracić kontroli. Byłam jedną z tych kobiet, które sprawiają wrażenie, że wszystko mają poukładane.

A jednak najbardziej niepokoiło mnie zawsze to, czego nie potrafiłam nazwać.

Na Gare du Nord jest miejsce, które od lat działało na mnie szczególnie mocno: długie ruchome schody prowadzące do strefy Eurostaru. Za każdym razem, kiedy stawiałam na metalowym stopniu i zaczynałam wolno unosić się ponad hałą, miałam wrażenie, że świat na chwilę zmienia proporcje. Podczas tej dwuminutowej podróży na dole zostawiałam hałas, walizki, zirytowanych pasażerów, rozlaną kawę, rozmowy prowadzone zbyt głośno i zbyt szybko. U góry czekała sterylność podróży międzynarodowej – osobny mikrokosmos ludzi uprzywilejowanych przez czas, pieniądze i konieczność lub wolność przemieszczania się między państwami.

– Proszę uważać na walizkę – rzucił mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze, pachnący *Sauvage*, próbując mnie ominąć.

Przesunęłam się odruchowo na prawą stronę.

– Przepraszam. Zamyśliłam się.

To była prawda. Patrzyłam w dół, na ruchliwą halę, i przez krótką chwilę czułam coś, czego nie umiałam sobie wtedy wyjaśnić: jakby moje życie, tak precyzyjnie zarządzane, oglądane z góry, nagle traciło swoją oczywistość. Wszystko działało. Zawodowo byłam skuteczna. Finansowo bezpieczna. Towarzysko obyta. Estetycznie – na swoim miejscu. A mimo to coraz częściej miałam wrażenie, że pod tą dobrze skrojoną konstrukcją biegnie cienka rysa.

Nie nazwałabym tego brakiem szczęścia. Raczej rodzajem wewnętrznego niedosytu, który trudno wytłumaczyć komukolwiek, kto patrzy z zewnątrz.

Poczekalnia Eurostaru była ascetyczna i dziwnie bezosobowa, jak zawsze. Kilka stolików, dwie małe kawiarnie, sklepik *Relay*, w którym ludzie kupują potrzebne rzeczy w ostatniej chwili: wodę, magazyny, przejściówki do angielskich kontaktów, tabletki na ból głowy, gumy do żucia. Cały ten drobny ekwipunek współczesnej kontroli nad rzeczywistością. Lubiłam takie miejsca. Ich przewidywalność mnie uspokajała.

Podeszłam do kasy.

– Poproszę butelkę *Perrier* i *Le Monde*.

Kasjer zeskanował zakupy bez słowa. Zerknęłam jeszcze na półkę z książkami, bardziej z przyzwyczajenia niż z realnej potrzeby. Zwykle nic ciekawego tam nie było: poradniki podróżnicze, thrillery lotniskowe, błyszczące okładki obiecujące szybkie emocje. I wtedy zobaczyłam tytuł, który w tym miejscu zabrzmiał niemal niestosownie.

«*Au secours sainte Rita*», napisany przez Amandine Cornette de Saint Cyr.

Zatrzymałam wzrok. Okładka była dokładnie taka, jakiej można by się spodziewać po książce, której nigdy bym nie kupiła: trochę kiczowata, zbyt dosłowna, z religijną estetyką, której instynktownie nie ufałam. Święci należeli dla mnie do świata bocznych naw, zakrystii, ludowej pobożności i kodów, których nigdy dobrze nie opanowałam. Nie znałam ich. Nie czułam z nimi związku. Jeśli już miałabym wskazać jakąś biblijną postać, która

budziła mój szacunek, byłby to św. Józef – człowiek, który milczał, robił swoje i nie epatował świętością.

– Święta Rita? – mruknęłam pod nosem. – Naprawdę? Ktoś taki istnieje?

Odłożyłam książkę na półkę niemal z irytacją. Wołałam nie wziąć nic, niż jechać do Londynu z lekturą religijną. Byłam wierząca w sposób, który przez lata wydawał mi się wystarczający: bez instytucjonalnej przesady, bez regularności, bez deklaracji. Bóg istniał gdzieś w tle, w prywatnych monologach, najczęściej wtedy, gdy czegoś potrzebowałam. Moje modlitwy były konkretne, zadaniowe, skrojone pod okoliczność. Takie à la carte. Prosiłam o zdane egzaminy, dobre decyzje, ochronę, powodzenie. Ufałam, że skoro On wie więcej ode mnie, sam dopracuje szczegóły.

Całą resztę wołałam brać na siebie.

To był model, który dobrze znałam: działać, organizować, przewidywać, zabezpieczać. Nie czekać biernie. Nie rozczulać się nad sobą. Nie liczyć na znaki. Jeśli czegoś nie rozumiałam, sprawdzałam. Jeśli czegoś nie umiałam nazwać, analizowałam. Miałam zresztą jedną cechę, która od lat porządkowała mi życie: nie znosiłam braku zrozumienia.

Dlatego kiedy pociąg ruszył, po odpisaniu na najważniejsze maile i szybkiej rozmowie telefonicznej, kiedy światło dzienne ustąpiło miejsca ciemności tunelu pod kanałem La Manche, ciekawość zwyciężyła nad moją ironią. Wyjęłam telefon i wpisałam w wyszukiwarke: „Święta Rita – kto to?”.

I wtedy wydarzyło się coś, czego się nie spodziewałam. Zamiast pobożnego obrazka zobaczyłam kobietę. Nie figurę, lecz czyjeś życie. Młodą Włoszkę z XV wieku, która chciała iść do klasztoru, ale rodzina kazała jej wyjść za męża. Żonę trudnego, gwałtownego mężczyzny. Matkę dwóch synów. Kobietę uwikłaną w przemoc, żalobę, bezradność, a jednak zdolną przejść przez to wszystko bez zgorzknienia.

Patrzyłam w ekran telefonu i czułam, jak coś we mnie się zmienia.

Rita nie była dla mnie jeszcze świętą. Spotykałam jednak kobietę, która przeżyła życie dalekie od religijnej pocztówki. Znała to, czego elegancki świat bardzo nie lubi pokazywać: upokorzenie, chaos, strach, wstyd, niemożność.

To uderzyło mnie mocniej, niż chciałam przyznać. Bo mój świat – świat pięknych adresów, dobrych hoteli, lotnisk i spotkań – znakomicie radził sobie z opakowaniem. Gorzej było z tym, co naprawdę pękało pod powierzchnią.

Im dłużej czytałam, tym wyraźniej czułam, że nie chodzi wyłącznie o historyczną ciekawostkę. Coś w tej postaci przyciągało mnie z siłą, której nie umiałam uzasadnić. To nie była jeszcze wiara. Nawet nie fascynacja. Raczej delikatne, niepokojące przeczucie, że zostało mi podsunięte coś, czego nie powinnam zlekceważyć.

Dziś powiedziałabym: pierwszy raz usłyszałam wtedy cichy wewnętrzny głos. Nie pojawił się jak objawienie i nie miał w sobie nic spektakularnego. Był raczej ledwie wyczuwalnym poruszeniem, czymś pomiędzy intuicją a zaproszeniem. Wcześniej zwykle zagłuszałam takie rzeczy działaniem. Tym razem, sama nie wiem dlaczego, postanowiłam się zatrzymać.

Czytałam dalej.

O dziewczynie z Roccaporeny, która nie została oszczędzona przez życie. O kobiecie zmuszonej do małżeństwa z człowiekiem porywczym i brutalnym. O żonie, która przez lata próbowała ocalić dom od przemocy. O matce patrzącej z przerażeniem, jak jej synowie dorastają w cieniu zemsty. O wdowie, która straciła wszystko, co mogła stracić, a jednak nie zamieniła bólu w nienawiść.

Nie interesowała mnie wtedy jeszcze aureola. Interesowała mnie siła.

To ją rozpoznałam najpierw. Nie cukierkową świętość, lecz twardy charakter kobiety, która nie robi z siebie widowiska. Siłę kogoś, kto wie, czym jest życie, i właśnie dlatego umie zostać przy drugim człowieku także tam, gdzie wszystko wydaje się przegrane.

Siedząc kilkadziesiąt metrów pod dnem morza, w pociągu pędzącym do Londynu, po raz pierwszy pomyślałam, że być może przez całe lata myliłam siłę ze sprawczością.

Sprawczość znałam doskonale. Potrafiłam organizować, wygrywać, zarządzać kryzysami i budować wokół siebie świat, który wyglądał na szczelny. Ale siła, którą zaczynałam przeczuwać przy Ricie, była innego rodzaju. Nie

hałaśliwa. Nie na pokaz. Oparta nie na pieniądzach, pozycji czy intelekcie. Cicha, głęboka, odporna.

I może właśnie dlatego od razu mnie poruszyła.

Nie wiedziałam jeszcze, że to spotkanie uruchomi całą serię zdarzeń, które trudno wytłumaczyć wyłącznie przypadkiem. Nie miałam pojęcia, że św. Rita wejdzie w moje życie nie jako religijny ornament, lecz jako pytanie. O cud, wiarę, zaufanie. O to, czym naprawdę jest bogactwo i jak często pod jego elegancką powierzchnią ukrywa się zwykła ludzka bieda.

Nie wiedziałam też, że czasem człowiek zostaje poprowadzony nie po to, by sam coś otrzymał, ale po to, by stał się mostem dla czyjegoś ratunku.

Wtedy rozumiałam tylko jedno: że chcę przeczytać o niej więcej.

2. Kobieta przed aureolą

KIEDY POCIĄG PĘDZIŁ pod kanałem La Manche, świat za oknem przestał istnieć. Zostało tylko odbicie twarzy w szybie, światło telefonu i ta szczególna anonimowość podróży, która czasem bardziej sprzyja szczerości niż własny salon. W takich chwilach człowiek łatwiej przyznaje się przed sobą do rzeczy, które w codziennym biegu natychmiast zagłusza.

Ja zagłuszałam wiele. Pracą. Tempem. Estetyką. Ambicją. Ruchem. To nie były rzeczy złe – przeciwnie, przez długi czas bardzo dobrze mi służyły. Pozwalały utrzymać kierunek, nie rozpaść się, nie ulec bezwładowi. Problem zaczyna się dopiero wtedy, gdy narzędzia, które miały porządkować życie, zaczynają je zastępować. A ja coraz częściej miałam wrażenie, że moja rzeczywistość jest świetnie zorganizowana, ale niekoniecznie naprawdę przeżywana.

Może dlatego nie odłożyłam telefonu po pierwszym akapicie. Może dlatego czytałam dalej.

O Ricie.

Nie o świętej jeszcze. O kobiecie.

Im więcej znajdowałam informacji o niej, tym bardziej oddalała się ode mnie ta pierwsza, odruchowa niechęć, którą poczułam, widząc książkę na półce. Znikał kicz okładki, znikająca cała moja irytacja religijną stylistyką. Zostawało życie. Twarde, niesprawiedliwe, pełne rzeczy, których nikt przy zdrowych zmysłach by sobie nie wybrał.

Rita urodziła się w Umbrii, w Roccaporenio, pod koniec XIV wieku. Pochodziła z rodziny, która miała wobec niej własne plany. Ona chciała podobno życia oddanego Bogu, klasztoru, ciszy, czegoś innego niż to, co zwykle

przygotowywano wtedy kobietom. Ale świat nie pytał jej o zdanie. Została wydana za mąż za Paola Manciniego – człowieka gwałtownego, uwikłanego w lokalne konflikty, porywczego, trudnego. Ich małżeństwo nie miało nic wspólnego z religijną pocztówką.

To właśnie uderzyło mnie najmocniej.

Rita nie zaczynała od świętości. Zaczynała od życia, które nie poszło po jej myśli.

Była żoną człowieka, którego musiała znosić. Matką dwóch synów, których próbowała wychować w świecie pełnym przemocy i zemsty. Potem wdową. Kobieta, która musiała patrzeć, jak nienawiść chce przejąć także jej dzieci. Nie była figurką ustawioną od początku na ołtarzu. Tylko osobą wrzuconą w rzeczywistość, w której codzienność miała smak lęku, napięcia i niemożności.

Czytałam o niej z rosnącym zdumieniem.

Nagle się okazało, że najbardziej pociąga mnie w świętej nie aureola, tylko doświadczenie. Nie nadzwyczajność, lecz głęboka znajomość tego, czym życie potrafi człowieka przygnieść. To było nowe. Zwykle odruchowo dystansowałam się wobec religijnych opowieści, które zaczynały się tam, gdzie człowiek przestawał przypominać człowieka, a stawał się od razu wzorem. Rita taka nie była. Jej historia zaczynała się w samym środku ludzkiego bałaganu.

A to akurat rozumiałam bardzo dobrze.

Oczywiście mój świat i jej świat dzieliło wszystko: epoka, język, religijność, realia, przemoc o zupełnie innym ciężarze. Nie chodziło o tanią identyfikację. Nie o to, że nagle uznałam się za kobietę cierpiącą na miarę świętej. Chodziło raczej o poznanie czegoś głębszego: że także dziś można mieć życie „udane”, a jednak wewnątrz nosić chaos, samotność, lęk i poczucie, że najważniejsze sprawy nie poddają się naszej woli. Przy Ricie po raz pierwszy poczułam, że świętość może nie polegać na oderwaniu od życia, lecz na przejściu przez nie bez utraty serca.

To stanowiło dla mnie odkrycie.

Patrzyłam na ekran telefonu i myślałam o swoim własnym modelu siły. O tym, że przez lata utożsamiałam ją głównie z odpornością, skutecznością, niezależnością, umiejętnością ogarniania rzeczywistości. Siła była dla mnie czymś dynamicznym, nowoczesnym, praktycznym. Czymś, co pozwala nie stać bezradnie. Tymczasem Rita odsłaniała mi inny wymiar siły: takiej, która nie musi dominować, nie musi błyszczeć, nie musi wygrywać po ludzku. Siły, która trwa. Która nie zamienia cierpienia w cynizm. Która nie traci zdolności kochania nawet wtedy, gdy wszystko wokół podpowiada, żeby zamknąć się na dobre.

Zobaczyłam w niej kobietę zmęczoną, ale nie gorzką.

To robiło na mnie ogromne wrażenie.

Myślę, że właśnie wtedy coś w środku mojego „ja” naprawdę drgnęło. Nie na poziomie religijnego wzruszenia, ale dużo głębiej – na poziomie wewnętrznego uznania. Jakby jakaś część mnie, ta bardziej prawdziwa niż wszystkie autoprezentacje, rozpoznała w Ricie kogoś, komu można zaufać. Nie dlatego, że ma gotowe odpowiedzi, ale dlatego, że zna ciężar pytań.

W moim życiu pytania zawsze były ważniejsze od odpowiedzi.

Nie wierzyłam ślepo. Nie ufałam łatwo. Nie pociągały mnie wielkie deklaracje. Jeśli coś miało do mnie dotrzeć, musiało przejść przez filtr inteligencji, intuicji i doświadczenia. A jednak z Ritą stało się coś zupełnie nieoczekiwanego: zaczęła omijać moje mechanizmy obronne. Wchodziła nie przez argument, lecz przez prawdę własnej historii.

To była kobieta od spraw beznadziejnych – ale nie dlatego, że czyniła religijne sztuczki. Tylko dlatego, że sama weszła w głąb beznadziei i nie została przez nią zniszczona.

I to właśnie wtedy, w ciemności tunelu pod kanałem, po raz pierwszy pomyślałam, że być może przez całe życie bałam się nie tyle cierpienia, ile utraty kontroli. Tego momentu, w którym moje kompetencje, pieniądze, kontakty, planowanie i zaradność przestają wystarczać. Być może dlatego św. Rita zaczęła mnie tak intrygować. Ponieważ była patronką dokładnie tego obszaru, którego najbardziej nie lubiłam: obszaru niemożliwości.

Nie wiedziałam jeszcze, co z tym zrobić.

Wiedziałam tylko, że nie chcę już odwracać wzroku.

Kiedy pociąg wyjechał z tunelu, światło wróciło nagle i ostro. Na moment musiałam zmrużyć oczy. Krajobraz po brytyjskiej stronie wydawał się spokojny, uporządkowany i daleki od tego, co właśnie poruszyło się we mnie pod ziemią. Zamknęłam telefon, ale historia Rity pozostała otwarta.

3. Drugie spotkanie

KILKA DNI PÓŹNIEJ byłam w Biarritz. Słońce nad Baskijskim Wybrzeżem miało w sobie ten szczególny rodzaj światła, który wygładza świat i przez chwilę każe wierzyć, że życie jest prostsze, niż jest w istocie.

Schodziłam z plaży do centrum, czując jeszcze na skórze sól, a w butach drobinki piasku, które przy każdym kroku przypominały mi o leniwym popołudniu nad oceanem. Do odjazdu pociągu zostało trochę czasu, więc bez większego namysłu skręciłam w Rue Mazgran.

Od lat miałam tam swój stały punkt: *Librairie Darrigade*.

Wchodziłam do tej księgarni zawsze z tym samym poczuciem przyjemnej zgody na wydatek, którego nie trzeba sobie tłumaczyć. Lubiłam miejsca, w których kultura nie była dekoracją, ale naturalnym językiem. Dębowe stoły, wysokie regały, miękkie światło układające się na okładkach, cisza przerywana jedynie szelestem kartek – wszystko wydawało się tam na swoim miejscu. Tak wyglądał świat, który rozumiałam. Świat wyboru, smaku, porządku.

Przesuwałam palcami po grzbietach nowych wydań, albumów i biografii, aż nagle zatrzymałam rękę.

Miedzy książkami, które idealnie wpisywały się w estetykę tego miejsca, zobaczyłam ją znowu: «*Au secours sainte Rita*», napisaną przez Amandine Cornette de Saint Cyr.

Ta sama okładka. Ten sam tytuł. Ta sama lekka irytacja, którą poczułam kilka dni wcześniej na Gare du Nord. A jednak tym razem było inaczej. W Paryżu mogłam uznać to za przypadek, za dziwny wybryk. Tutaj nie potrafiłam już zbyć tego tak łatwo. W eleganckiej księgarni w Biarritz ta książka

wyglądała niemal prowokacyjnie, jakby ktoś celowo umieścił wśród starannie dobranych tytułów coś, co miało zakłócić estetyczny porządek.

I właśnie dlatego nie mogłam od niej oderwać wzroku.

Byłam kobietą racjonalną. Nie należałam do osób, które w każdej koncydencji widzą znak z nieba. Ufałam intuicji, ale zwykle dopiero wtedy, kiedy dało się ją poprzeć doświadczeniem, logiką albo przynajmniej psychologicznym prawdopodobieństwem. A jednak od chwili, gdy przeczytałam w pociągu pierwsze informacje o Ricie, coś nie dawało mi spokoju. Nie ekscytacja czy religijne uniesienie. Raczej dyskretne poczucie, że zostało mi zadane pytanie, od którego nie powinnam już uciekać.

Stałam tak chwilę bez ruchu, z dłonią zawieszoną nad okładką, jakbym negocjowała sama ze sobą.

– *Cherchez – vous un ouvrage particulier ou préférez – vous laisser le livre venir à vous?*¹ – Usłyszałam za plecami.

Odwróciłam się. Starsza księgarka patrzyła na mnie z tym spokojem, jaki mają ludzie, którzy spędzili życie wśród książek i nauczyli się, że niektóre wybory czytelnicze dzieją się głębiej niż na poziomie gustu.

Uśmiechnęłam się lekko.

– Chyba to drugie – odpowiedziałam. – Widzę ją już drugi raz w ciągu kilku dni.

Spojrzała na okładkę i skinęła głową, jakby to coś wyjaśniało.

– W takim razie nie wypada jej znowu odłożyć.

To zdanie, proste i wypowiedziane bez cienia teatralności, trafiło we mnie z zaskakującą siłą. Bo właśnie to próbowałam zrobić: odłożyć nie tyle książkę, ile wezwanie, którego jeszcze nie umiałam nazwać. Przez lata świetnie radziłam sobie ze wszystkim, co wymagało decyzji, odwagi, wyczucia sytuacji i szybkiego działania. Znacznie gorzej szło mi z przyjmowaniem tego, co przychodziło bez zapowiedzi i nie pasowało do mojego planu. A Rita

¹ *Cherchez – vous un ouvrage particulier ou préférez – vous laisser le livre venir à vous* (z franc.) – Czy szuka pani czegoś konkretnego, czy raczej pozwala się pani znaleźć książkę? (przyp. red.).

właśnie taka była. Nieproszona. Nie w moim stylu. Nie z mojego świata. A jednak uparcie wracała.

Wzięłam książkę do ręki.

Okladka nadal mnie nie przekonywała. Tytuł nadal wydawał się zbyt dosłowny. Wszystko w tej książce estetycznie stało po przeciwnej stronie mojego gustu. Mimo to trzymałam ją tak, jak trzyma się coś, co z niewiadomego powodu już do nas należy.

– Biorę ją – powiedziałam.

Księgarka uśmiechnęła się tylko i z niezwykłą starannością zaczęła owijać egzemplarz w papier. Patrzyłam na ten prosty gest i pomyślałam, że jest w nim jakaś czułość, której coraz rzadziej doświadczam się w nowoczesnym świecie. Wszystko wokół mnie działało szybko, sprawnie, profesjonalnie. Transakcje były płynne, usługi doskonałe, standard wysoki. Ale czułość nie należała do tego języka. Tutaj – tak. Dostrzegłam to w sposobie, w jaki ta kobieta podawała mi książkę o świętej, której jeszcze nie znałam, a która już zaczynała rozszczelniać mój uporządkowany świat.

Wysłam z księgarni z papierową torbą w dłoni i poczuciem, że wydało się coś małego, a jednak nieobojętnego.

Na dworcu wsiadłam do pociągu do Paryża, włożyłam książkę do torebki, a potem po chwili znów ją wyjęłam. Za oknem przesuwały się znajome krajobrazy południowo-zachodniej Francji: światło, pola, miasteczka, stacje, które pojawiały się i znikwały. Zwykle lubiłam ten rodzaj podróży – moment zawieszenia między jednym miejscem a drugim, kiedy ciało jest w ruchu, ale umysł może na chwilę przestać produkować kolejne zadania.

Tym razem jednak nie chciałam ani muzyki, ani pracy, ani rozmów. Otworzyłam książkę. I wpadłam.

Czytałam zachłannie, bez dystansu, którego zwykle pilnowałam. Historia Rity przedstawiała być dla mnie opowieścią z religijnego marginesu. Nabierała ciężaru prawdziwego życia. Było w niej wszystko to, od czego współczesny świat odwraca wzrok, jeśli tylko może sobie na to pozwolić:

przemoc, strata, upokorzenie, bezradność, samotność, długie czekanie na zmianę, która nie przychodzi wtedy, kiedy człowiek jej żąda.

A równocześnie kryła się w tej historii siła, która mnie zatrzymywała. Historie osób, które zawierzyły sobie i swoich bliskich tej Włoszce.

Nie siła widowiskowa. Nie triumf. Nie sukces w nowoczesnym rozumieniu. Rita nie imponowała mi niezwykłością. Imponowała wytrwałością. Tym, że nie zamieniała bólu w cynizm. Tym, że nie uległa brutalności świata, który miał wszelkie powody, by ją złamać. Tym, że potrafiła pozostać wewnętrznie żywa tam, gdzie większość ludzi twardnieje albo obojętnieje.

Czytałam i coraz mocniej czułam w sobie to niewygodne pytanie, którego wcześniej nie dopuszczałam do głosu: czym właściwie jest siła?

Przez lata utożsamiałam ją ze sprawczością. Z umiejętnością działania, zarabiania, podejmowania decyzji, szybkiego reagowania, stania prosto niezależnie od okoliczności. Ten model dobrze mi służył i nieraz mnie uratował. Zbudował moje życie. Dał mi niezależność, styl, pozycję, bezpieczeństwo. Ale przy Ricie po raz pierwszy wyraźnie zobaczyłam, że sprawczość nie chroni przed wszystkim. Można mieć środki, kontakty, doświadczenie, inteligencję, a mimo to nosić w sobie głód, którego nic z tego nie zaspokaja.

To był dla mnie moment bolesnej uczciwości względem siebie.

Zrozumiałam, że świat, w którym poruszam się z taką swobodą, jest światem świetnie opanowanych pozorów. W nim wszystko można dopracować: sylwetkę, plan dnia, karierę, adres, stolik w restauracji, ton głosu, nawet własną historię. Trudniej dopracować serce. Trudniej przyznać się do wewnętrznego zubożenia, zwłaszcza kiedy zewnętrze niczego nam nie brakuje.

Może właśnie dlatego Rita tak mocno mnie poruszyła. Nie proponowała mi estetyki, z którą mogłabym się utożsamić. Nie wchodziła do mojego życia przez piękno formy, lecz przez prawdę doświadczenia. Była kobietą z ranami, nie figurą do podziwiania. I ta prawda działała mocniej niż jakikolwiek dobrze sformułowany argument.

Nie zauważyłam nawet, kiedy pociąg zaczął zwalniać przed Gare Montparnasse. Zamknęłam książkę dopiero wtedy, gdy głos w głośnikach zakomunikował przyjazd do Paryża. Wybiła dwudziesta druga.

Wysiadłam na peron z tym osobliwym uczuciem, że wracam do miasta, które znam doskonale, a jednak wchodzę do niego w nieco inny sposób niż zwykle. Powietrze było chłodne, wieczorne, paryskie w najlepszym i najbardziej surowym znaczeniu tego słowa. Ludzie mijali mnie pośpiesznie, każdy zajęty własnym celem. Ja też miałam swój – choć jeszcze kilka dni wcześniej wydałby mi się absurdalny.

Chciałam pójść do kościoła.

Nie z obowiązku. Nie z pobożnego odruchu. Z potrzeby. Nagłej, niemal fizycznej. Chciałam sprawdzić, czy Rita tam jest. Stanąć przed jej figurą albo obrazem i skonfrontować tę dziwną więź, która zaczęła się tworzyć we mnie z kimś, kto jeszcze niedawno był dla mnie tylko obcym imieniem na okładce książki.

Ruszyłam metrem i za kilka przystanków wysiadłam. Znalazłam się przed kościołem, ale ciężkie drzwi świątyni były już zamknięte. Paryż, tak hojny w ofercie wszystkiego, co można kupić, o tej porze nie miał nic do zaoferowania w sprawach duszy. Stałam chwilę przed jednym z portali, z dłonią opartą o chłodne drewno, i czułam niecierpliwość, która mnie samą zaskoczyła.

Jeszcze niedawno wzruszyłabym ramionami i wróciła do domu. Tego wieczoru było inaczej.

Przycisnęłam książkę mocniej do siebie.

– Jutro – powiedziałam cicho. – Jutro Cię znajdę.

Nie wiedziałam jeszcze, że to proste zdanie stanie się początkiem drogi, której nie zaplanowałam, a która nauczy mnie więcej o wierze, cudzie i zaufaniu niż wszystkie moje wcześniejsze, rozsądnie poukładane przekonania.

Ciąg dalszy dostępny w pełnej wersji książki.

Spis treści

Od autorki	5
1. Wertykalność	6
2. Kobieta przed aureolą	11
3. Drugie spotkanie	15
4. Święty Augustyn	20
5. Pigalle	26
6. Efekt Rity	32
7. Nicea	36
8. Coraz bliżej	43
9. Karnawał i telefon z dializy	46
10. Kraków – Rzym – Spoleto	52
11. Cascia	56
12. Krata	62
13. Sophia Loren	66
14. Upadek pychy	69
15. Mélanie	75
16. Nie tylko dla mnie	82
17. Cichy rytuał	86
Podziękowanie	90